



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



PYSZNE KOTY.

Pysznił się mały kotek wszedłszy w kosz podarty,
Że ma pałac wspaniały. Chciał ucztę wyprawzić;
A kocięta, co przy nim odprawiały warty
Radziły jakby się razem z nim zabawić.

*

*

*

Wtem stróż przyszedł, kosz zabrał i wypędził koty,
A wygrażając miotłą, wołał: „Precz niecnoty!”
Uciekł szybko kociak, rozpierzchła się warta,
Bo pycha w cudzych piórach nigdy nie warta.

Z. M.

CO MOŻE OPowiedzieć ŚCIĘTY PIEN DRZEWA.

LOS Y ADASIA.

przez

Zofię Kowerską.

(Dalszy ciąg).

Drwał powalił jednego z olbrzymów lasu. Rozpostarł odwieczny dąb szerokie konary na ziemi, którą cieniem swoim lat tyle osłaniał. Od chwili gdy małeńka gałązka wyrzuciła z żółędzia, ileż roślin przeżyło swój wiek, ile pokoleń ludzkich legło w grobie? Gdyby mówić umiał, powtarzamy nieraz, jak wiele ciekawych rzeczy możnaby się od niego dowiedzieć!

Wymagać od drzewa, aby nam opowiadało cudze dzieje, to trochę za wiele, spróbujemy jednak zapytać go o główne wypadki z jego własnego życia, a ciekawość naszą zaspokoić możemy badając pień zwalony. Przypatrzmy się świeżo przeciętej powierzchni. Naokoło punktu znaczącego się w środku, ułożyły się warstwy mniej lub więcej prawidłowo. Policzmy je uważnie. Jest ich 160. Oznaczają one wiek dębu, ma więc staruszek lat 160.

Zapytacie pewno dla czego można tak łatwo odróżniać te warstwy? Tuż pod korą znajduje się ta część drzewa, w której mieści się istotne siedlisko życia. W ciągu roku wypełnia ją warstwa materii miękiej, czyli tak zwana miazga. Warstwy te rozwijają się od najwcześniejszej młodości rośliny. Corocznie aż do śmierci drzewa, miazga twardnieje, tworząc dwie warstwy, jedną wewnętrzną, drugą zewnętrzną. W ten sposób warstwy drzewa stare pokrywają się nowemi, najstarsze znajdują się w samym środku. Miazga wytworzona na wiosnę, to jest w chwili, gdy soki krążą bardzo obficie, składa się z obszernych i licznych komórek, wytworzona w jesieni, uboższa jest w komórki.

Znacznie powiększone przecięcie, pokazuje wyraźnie różnicę między warstwą wewnętrzną czyli wytworzoną na wiosnę, a warstwą jesienną.

Znamy już wiek olbrzyma, spojrźmy raz jeszcze uważnie na przecięcie jego, a może dowiemy się czegoś więcej. Uderza nas odrazu, że warstwy te nie jednakową mają grubość, niektóre są bardzo cienkie. Otóż te ostatnie warstwy odpowiadają latom albo wyjątkowo suchym, albo też były to lata, w których drzewo wydało najwięcej owoców. W tym ostatnim wypadku drzewo zużyło większą część soków na wytworzenie owocu, mniej znaczną na nowe warstwy drzewa.

Pasy szerokie wskazują nam lata wilgotne, w czasie których wegetacja rozwijała się w dobrych warunkach. Jeżeli ciekawy jesteś, czytelniku, poznać daty owych lat chudych i tłustych, to policz warstwy dzielące jedne od drugich.

Cóż znaczą okolice brunatnawe, jakby spróchniałe, znajdujące się w niektórych miejscach? Odpowiadają one zimom bardzo surowym. Drzewo, wytworzone w ciągu roku, stanowi warstwę zewnętrzną, zimno więc uszkodziło je, ale potem przykryte zostało nowemi, zdrowemi warstwami. I tu także prosty rachunek kręgów, wskaże nam daty tych zim wyjątkowych.

To jeszcze nie wszystko. Niektóre kręgi mają jednakową grubość, wskazuje to, że w pewnych latach w całej roślinie wegetacja odbywała się prawidłowo, inne przeciwnie są z jednej strony grubsze z drugiej cieńsze. To znów dowodzi, że drzewu dokuczalo coś z tej strony, znalazła się jakaś przeszkoda czy to w rozwoju korzeni czy gałęzi.

Liczba tych nieregularnych kręgów wskazuje lata, w których brakowało drzewu sprzyjających warunków.

Czyż nie opowiedział nam dąb swojej historii?

Wskazał wiek swój, sprzyjające dla jego rozwoju lata, jako też i te, które mu zagrażały, surowe zimy, które pozostały bliźny na jego pniu olbrzymim.

Czegóż więcej żądać możemy?

I. R.

Adaś skradł się potem jak złodziej do kuferka, w którym leżały łyżwy. Niby to miał jakiś pakiet dać wujowi Karolowi żeby go zawiózł do Słomieńca, jakieś sprawunki dla matki. Wpadał z kłamstwa w kłamstwo. Ręce mu się trzęsły gdy zawiązał łyżwy w papier pod pokrywką kuferka, potem zaś znowu jak złodziej łyżwy pod pachę ukrył i uciekł też jak złodziej by który z kolegów nie wyszedł kłamstwa i głósno innym kolegom wszystkiego nie powiedział. Była chwila w której sądził, że jest zgubiony. Mały Staś jakoś mu się pod pachę podkręcił i Adaś czuł już prawie jak ręce Stasia twardych łyżew dotykają i jak głosik dziecinny wołał:

— Mówiłeś, że to sprawunki dla matki a to łyżwy!

Ale Staś łyżew nie dotknął i żaden z kolegów nie podejrzewał złej wady Adasia, który jak nieprzytomny biegł ku ślizgawce. Zdawało mu się, że ktoś go śledzi, że z pewnością spotka kogoś co doniesie panu Janockiemu, że coś goni go przed czem on uciekać musi. Na ślizgawce zapomniał jednak o wszystkim. Było mnóstwo osób a między innemi dwie panienki, które Adaś znał i które z nim rozmawiały i żartowały. Od chwili do chwili, wszakże, Adasia jakiś strach przejmował, ogłądał się w około i był niespokojny.

— Pan dziś tak wygląda, panie Adamie — rzekła jedna z dziewczynek — jakby tam na brzegu stał sam dyrektor albo conajmniej inspektor, albo który z profesorów.

— Ja się wcale nie boję ani dyrektora, ani inspektora ani żadnego profesora — odrzekł obrażony Adaś.

— Ale zawsze jako widzowie ślizgawki, to nie są przyjemni ludzie — mówiła śmiejąc się dziewczynka.

— Pani dziś taka złośliwa — ozwał się Adaś coraz więcej niespokojny — a ja będę musiał uciekać ze ślizgawki. Muszę zresztą wracać już do domu.

— A co! Przysięgłabym, że ten pan co tam stoi, ten chudy, błądy i wyżółkły to profesor.

— Dam pani dowód, że się go wcale nie boję i zostanę tu jeszcze.

Adaś ślizgał się jeszcze ale mu już ta zabawa nie robiła przyjemności. Wyobrażał sobie, że go szukają po hotelach z polecenia pana Janockiego, że się jego kłamstwo wykryło. Wreszcie cały drżący i pełen obawy pobiegł co miał sił do domu. Pan Janocki kładł właśnie paltot i miał sam iść szukać Adasia, ponieważ posłaniec, który się o jego wuja po hotelach dopytywał nigdzie gościa tego nazwiska znaleźć nie mógł.

Grad wymówek spadł na głowę Adasia. On dobrze czuł, że były zasłużone, ale się wykręcał, dokłamywał mnóstwo szczegółów, utrzymywał że jego wuj z hotelu przeniósł się do znajomego, że go z sobą tam zabrał do restauracji hotelu Wiktorya. Adaś zmyślał jak wytrawny kłamec bo jedno kłamstwo pociąga zwykle inne za sobą.

— Pamiętaj — rzekł nakoniec pan Janocki — że od dziś dnia straciłeś prawo do mojej ufności.

A wyrzekł to z taką powagą i takim żalem, że Adasiowi ogromnie przykro się zrobiło. Kłamstwo mu się udało, żadnej kary prócz słusznego połajania nie otrzymał, wycieczka jego na ślizgawkę pozostała tajemnicą zarówno dla pana Janockiego jak dla kolegów; jednak Adaś był smutny, niekontent z siebie i tak wzdychał, że Florek odezwał się:

— Widzę, że ci się nie udało. Wuj Karol nie domyślił się i dziesięciu rubli nie dał!

— Daj mi już pokój z wujem Karolem!

— To o takim wuju się nie mówi co żadnej domyslności niema!

Widzisz, że się uczę! Daj mi pokój!

Nawet nauka Adasiowi nie szła. Powinien się był radować, że mu ślizgawka tak uszła na sucho, a jemu się chciało płakać, taki był z siebie niezadowolony. Zdawało mu się, że wszystkie jego kłanstwa ołowiem mu na sumieniu sięgają. Był przytem zmęczony, chciało mu się spać, ziewał, nauka, która mu dotąd szła tak łatwo, teraz nie czepiała się głowy. Nazajutrz dostał palkę z arytmetyki.

To go zgryzło ale i zniechęciło jeszcze bardziej. Był rozczalony i zły zarazem. Oświadczył, że kiedy tak, to się wcale uczyć nie będzie. Ktoby był słyszał jak się z tego złego stopnia tłumaczył przed panem Janockim byłby musiał przysiądź, że wszyscy byli winni prócz samego Adasia. Profesor arytmetyki upatrzył sobie coś do niego, Władys unyślnie w tej chwili powiedział mu coś śmiesznego, tak, że on miał się śmiać a Antoś co mu miał podpowiedzieć dobrze, to mu podpowiedział źle, tak, że mu się jakoś w głowie pomieszało.

— Co powiedzą twoi rodzice? — rzekł wreszcie pan Janocki.

Adaś zapłakał. Przypomniawszy sobie jaka to była uciecha na Boże Narodzenie, gdy on jako doskonały uczeń do domu powrócił i pomyślał jakim smutkiem napelni serca rodziców gdy się dowiedzą jak ich syn się sprawuje. Ale zamiast uczuć swój błąd i przyrzec poprawę, Adaś wśród łez powtarzał, że on przecie na to poradzić nie może, że profesorowie uprzedzili się do niego i unyślnie stawiają mu złe stopnie.

— Każdy osiał tak samo mówi — przerwał pan Janocki — Jestem profesorem od lat dwudziestu i wiem dobrze że pilni uczniowie przyznają się do winy, nieuk zaś każdy utrzymuje, że wszyscy winni prócz niego.

— Ja nie jestem nieukiem! — zawołał Adaś, ja nie jestem głupcem! — Ja w pierwszym kwartale byłem pierwszym uczniem!

— Tak, kochanku, ale teraz jesteś dwudziestym a jeżeli tak dalej pójdzie, to będziesz ostatnim.

Adaś przez dni kilka gorliwie zabrał się do nauki, ale go jakoś profesorowie nie wyrwali. Wyrzekał na to:

— Chciałbym się poprawić, to mię żaden nie wyrwał!

Wyrwany wkońcu został z łaciny i dostawszy piątkę tak się nią uradował, że wracając do domu podskakiwał idąc poturmem i chciało mu się śpiewać walcę, którego jakaś panienka codziennie grała na pierwszym pięttrze, podczas gdy on uczył się lekcji. Przytem myślał:

— Popoprawiam sobie stopnie ze wszystkiego na piątki — przecie wcale nie trudno. Uwiek tak gderał za tę łacinę, teraz to mu pokaże piątkę. Będzie stała jak wół na cenzurze; mówiąc „bum, bum, tra la la la” wbiegł do mieszkania.

Była to sobota, dzień który Adaś lubił bardzo. Utrzymywał, że w niedzielę już go zwykle coś niepokoiło bo zaraz potem był poniedziałek, ale sobotni wieczór to była najprzyjemniejsza chwila z całego tygodnia. Florka nie było, bo rodzice, którzy do Warszawy przyjechali, zabrali go na obiad na całe popołudnie, ale pod wieczór zjawił się na chwilę. Przychodził się przebrać. Opowiadał cuda o jakimś cyrku, którymi słyszał od kogoś. Miał tam wieczorem być z rodzicami, którzy dostali pozwolenie dla niego. Podobno w tym cyrku był jakiś błazen, który chodził na rękach i koń, który śmieszył polkę. Był też silacz, który podnosił ciężary. Nikt dwudziestej części tego podnieść nie mógł z największym wysiłkiem, co on podnosił na jednym palcu. Była też panienka podająca po sznurze i słon jeżdżące na welocypedzie. Florek był prawie w gorączce. Śmiał się, skakał kładąc świeżo poszute i prosił Adasia, by mu dał wody kolonskiej do uperfumowania chustki.

— Tylko się przypatrz dobrze wszystkiemu — mówił Adaś — żebyś nam mógł dokładnie opowiedzieć, co zobaczysz. Ja za koniami przepadam i gdy dorosnę odbędę konno podróż naokoło świata, a może pojedę na welocypedzie bo to dobra jazda!

— Szczególniej po błocie! — ozwał się Władys — A do tej też jazdy na welocypedzie albo na koniu po morzu! Ciekaw

kawy jestem jak ty odbędziesz podróż naokoło świata jadąc tylko po lądzie.

— Siądę sobie na okręt z koniem! Ciekawy też jestem, czy konie mają morską chorobę!

— Konie może, ale welocypedy to z pewnością nie mają.

— Może my sobie pojedziemy razem — ozwał się Florek — Zawsze przyjemniej jeździć w towarzystwie niż samemu. I nawet bezpiecznie.

— Dlaczego pezpieczniej.

— No, w jakim wypadku, na przykład z dzikimi ludźmi.

Zawsze we dwóch łatwiej bronić się można.

Florek wybiegł i już był na wschodach, ale wrócił jeszcze by powiedzieć Adasiowi:

— Tylko pamiętaj, żebyśmy w podróż wzięli z sobą pasy korkowe!

— Pasy korkowe? A to na co?

— To na wypadek rozbicia się okrętu! Wszysey toną, a ci co mają pasy korkowe wypływają na wierzch a potem...

— Umierają z głodu i zimna! — przerwał Władys.

— Wcale nie! Nadechodzi pomoc, statek ratunkowy i zabiera nas, a inni już są na dnie albo pożarci przez rekiny.

— Rekin potrafi połknąć i z pasem korkowym — zauważył Władys.

Florek zastanowił się. Przypuszczenie, że pas korkowy nie odebrałby apetytu rekinowi, bardzo go stropiło.

— Wiesz? — rzekł do Adasia — może ja ci nie będę mógł towarzyszyć w tej podróży. Ale jeszcze pogadamy o tem.

I wybiegł, a towarzysze jego mieli go za najszcześliwszego człowieka na świecie. Adaś cały wieczór marzył o cyrku. Rysował konie przesadzające przeszkody co mu się nieźle udawało, ale słonia na welocypedzie jakoś narysować nie mógł.

— Jaka to musi być przyjemna rzecz być pogromcą zwierząt — rzekł do Władysia — Tygrys, lew, szczyrzy zęby na każdego... ty wchodzisz, a on się staje łagodny i pokorny. Widziałeś kiedy menażeryę?

— A jakże! Nawet mię jedna małpka udrapała.

— To ty nie jesteś pogromcą małp! — zawołał maly Staś, któremu się wydało, że powiedział wielki dowcip.

— Ale ja jestem pogromcą sztubaków! — odparł Władys srogie spojrzem rzucając na Stasia.

— Oho! to mi dopiero straszny! — zawołał Staś, który lubił wywoływać spory a nawet bójki.

— Zobaczysz, że straszny!

Władys chciał złapać Stasia za ucho, ale Staś zwinny jak kot uciekać zaczął naokoło stołu, co chwila barykadując się krzesłami i uciekając dalej. Zrobił się hałas. Wbiegła pani Janocka przestraszona:

— Och, moje dzieci co wy za hałas wyprawiacie!

— Bo ze Stasiem wytrzymać nie można! — zawołał Władys.

— On mię ciągle sztubakiem przezywał! — skarżył się Staś.

— Ale pocóż wszystko w pokoju przewracać? — pytała pani Janocka — To poprostu w domu wytrzymać nie można! Ach, Boże, Boże!

Pani Janocka wyszła z westchnieniem. Biedna kobieta lubiła nadewszystko ciszę i spokój, a los przeznaczył jej życie w ciągłym zgiełku. Weiaż tylko tupanie butów po wschodach i w pokojach, bieganie, odsuwanie krzesel, upuszczanie jakichś przedmiotów na ziemię, kłótnie, wykrzykniki, bójki, skargi, łajanie pana Janockiego, tłumaczenia się piskliwe chłopców, głośnie uczenie się, czasem nawet wykrzykniki chłopców przez sen. Pani Janocka nie z mniejszem upragnieniem wyglądała wakacyj niż uczniowie. Marzyła o wakacjach jak o raju, jak o niebie, a piekło wystawiała sobie napelnione hałasliwymi i zaważyackimi chłopaczyskami. Nigdy o swoich wychowancach nie mówiła inaczej jak „chłopaczyska” i wyobrażała sobie, że dziewczynki są aniołami, pra-

wdopodobnie dla tego, że nigdy dziewczynkę na stancyi nie trzymała. Miała jedną córkę już zamężną, tak sobie życzyła wnuczek, a nie wnuków, że gdy jej córce urodził się syn, pobłogosławiła go ale z westchnieniem wyrzekła:

— Jedno „chłopaczysko” więcej na świecie.

Potem jednak tak się do tego wnuka przywiązała, że znosiła z uśmiechem jego krzyki i utrzymywała, iż był taki grzeczny jak dziewczynka.

Florek nocował w hotelu u rodziców i wrócił dopiero nazajutrz po obiedzie. Pan Janocki zasadził go do nauki wraz z innymi chłopcami. Chciał by się na poniedziałek przygotowali zaraz po obiedzie, bo on sam był zaproszony na wieczór z powodu imienin kolegi, a wiedział, że gdy kota niema w domu, myszy tańczą po stole. Zona jego zostawała, ale wiedział dobrze jak ją mężczy pilnowanie chłopców i wolał by lekcye przygotowane były przed jego odejściem.

Ale jakże tu było się uczyć, kiedy Florek opowiadał niestworzone rzeczy o cyrku. Niby się to chłopcy uczyli mruczając i kiwając się nad książkami, a tymczasem Florek mówił monotonię, jak gdyby powtarzał lekcye.

— Dwóch się mocowała z sobą, ale wam mówię, myślałem, że jeden drugiego rozniecie, zdusi, zadławi. Rzucali się potem na siebie jak koguty, jak wściekłe koty...

— Co ty tam mruczysz Florek? — zawołał pan Janocki, który się przechadzał koło stołu, ale chłopcy korzystali z tego, iż nieco niedosłyszali.

— Nic, panie profesorze, odmieniam *amo*!

Przytem Florek zaczął głośniejszą mowę:

— *Amo, amas, amat, amamus, amatis, amant.*

A potem:

— Wyobraźcie sobie, że jeden z nich zapraszał północy by kto z publiczności przyszedł się z nim zmierzyć. Obowiązywał się prawą ręką kazać sobie przywiązać do ciała, a miał walczyć tylko lewą. Otóż z pomiędzy widzów wyszedł jakiś jegomość, podobno rzeźnik z Pragi...

— Florek! ty coś tam gadasz co do lekcji nie należy!

— Nie, panie profesorze, ja się uczę. Fero, tuli, latum, ferre.

— No i cóż się stało? — zapytał zaintrygowany Adaś.

Ale pan Janocki pochylił się nad Florkiem i opowiadanie przerwać się musiało. Chłopcy udawali, że się uczą, a myśleli o siłaczach w cyrku, o przyjemności, jakiej doznał Florek. Adaś pocieszał się nadzieją, że w swoich przyszłych podróżach napatrzy się na predigastorów indyjskich, na sztukmistrzów chińskich i na derwiszów. Musi też zobaczyć sztuki Eusapii Palladino, a w Hiszpanii przypatrzeć się walce byków. Jacy szczęśliwi byli ci Grecy i Rzymianie, że bywali na igrzyskach! Tak się tem szczęściem starożytnych przejął, że się ozwał do pana Janockiego, a słowa jego wypadły jak z procy:

— Panie profesorze, czy w Grecyi i Rzymie dzieci bywały na igrzyskach?

Pan Janocki stanął jak wryty.

— Czego ty się uczysz w tej chwili?

— Arytmetyki, panie profesorze.

— A myślisz o igrzyskach w Grecyi i Rzymie! Znowu jutro oberwiesz pałkę!

Pan Janocki był też ciężko zmęczony swoją dwudziestoletnią pracą nad dziećmi. Wiecznie pilnować chłopaków kłamiwych i pragnących w każdej chwili go oszukać, to było ciężkie zadanie. Profesor lubił młodzież, lubił nauczanie, ale znajdował, że za mało na świecie jest chłopców dobrych, prawdomównych i pilnych a za wiele złych i próżniaków.

(c. d. n.)



Mandaryn chiński.

Z POBYTU W KANTONIE.

Dawno już minęły te czasy, kiedy Chiny oddzielone sławnym swoim murem, były tak nieprzystępne i odległe od Europy. Dziś już dzięki tylu pięknym i pożytecznym wynalazkom naszych uczonych, stosunki międzynarodowe niesłychanie uległy zmianie. Każdy wypadek jaki zajdzie w Chinach, tego samego dnia jeszcze drogą telegraficzną dochodzi do najodleglejszych krańców naszej części świata, jak tego mieliśmy najświeższe przykłady, w czasie krwawych zapasów pomiędzy Japonią i Państwem Niebieskiem, które się takim upokorzeniem dla tego ostatniego zakończyły.

Sądząc, że i czytelnikom naszym nie może być zupełnie obojętną, zajmująca widownia tej sąsiedzkiej wojny, podajemy im poniższy opis Kantonu, olbrzymiego chińskiego grodu, liczącego przeszło półtora miliona mieszkańców. Pływające to miasto nie należy bynajmniej do zwykłych miejscowości znanych pod tą nazwą na świecie, każda bowiem pływająca budowla, jest do-

mem dającym schronienie jednej lub kilku rodzinom, a liczba mieszczącej się w ten sposób ludności, wynosi w Kantonie około 300,000.

Musimy opisać najpierw małą wyspę Szamin, mówi podróżnik, którego tu przytaczamy opowiadanie, gdzie znajduje się przebywająca w Kantonie kolonia europejska. Wyspa ta oddzielona jest jedynie wązkim kanałem, od gorączkowego ruchu olbrzymiego, chińskiego miasta, a ponieważ nie nam nie stoi na przeszkodzie, a nawet już dobrą minutę, jakiś uprzejmy Chińczyk cfiaruje nam swoje usługi, przeto ruszamy dalej. Na karcie wizytowej którą nam podaje ten człowiek, wyczytujemy napis angielski: „Canton City Guide” to jest: przewodnik po mieście Kantonie.

Nasz przewodnik jest doświadczonym osobnikiem odpowiadającym powadze swego powołania. Odznacza się żół-

serą właściwą swojemu plemieniu, obszerną suknią jedwabną i małą czapeczką, z pod której zwiesza się na plecy długi, cienki warkocz; nogi jego toną w śpiczastych filcowych trzewikach, prawa zaś ręka trzyma wachlarz. Siadamy tedy w lektykę i pod przewodnictwem tego typowego cicerona, zapuszczamy się w najludniejszą dzielnicę Kantonu. Jest to właśnie jeden z punktów środkowych handlu południowych, chińskich prowincji i dlatego przewodnik nasz chce nam pokazać ulice słynące z najbogatszych swoich sklepów. Jednocześnie rowe domy stoją jeden obok drugiego, tworząc wąskie i kręte przejścia. W każdym z tych domów znajduje się jakiś sklep.

Nie brakuje też równie i znaków, lubo całkiem odmiennych od naszych; tu bowiem zwieszają się one prostopadle od

czonym człowiekiem, ażeby nie miał wiedzieć co nam może przypaść do smaku. Każę więc zatrzymywać kolejno naszą lektykę, przed różnymi składami artykułów spożywczych bez względu, czy te mieszczą w sobie owoce i jarzyny, mięso i ryby, lub też pletwy rekinów, poobdzierane ze skóry psy, koty i szczury, oraz inne tego rodzaju chińskie przysmaki. Odetchnąwszy całą pierś po przebyciu ulic napełnionych najobrzydliwszymi zapachami, dostajemy się do dzielnicy w której znajdują się wystawione na sprzedaż różne wyroby z dziedziny sztuki chińskiej. Wiele podobnych wyrobów dostało się już drogą handlową do Europy, gdzie je pomieszczono jako osobliwości po muzeach, albo sprzedawano dla ozdoby wykwintnych mieszkań. Według nas są to przedmioty nieprzechodzące granic zwykłego rękodzielnictwa, nie mające-



Typy dziewcząt chińskich.

zamego dachu aż do ziemi i zawierają jak nas o tem zapewnia przewodnik nasz znający język chiński, zarazem rodzaj odpowiedniej reklamy. Przedewszystkiem pomysłowy kupiec zapewnia tu o swojej rzetelności; wycytujemy zatem na jaskrawo pomalowanych tablicach, złocisty napis, następującej treści: „Dźwięk naszego dolara, jest czysty jak śpiew słowika nad strumieniem”, albo: „Obym przestał być żółtym, jeżeli nie jestem rzetelnym!”

Niema tu nigdzie żadnej oszklonej wystawy, ale zato na wysokości połowy ludzkiej postaci, znajdują się drewniane deski, na których są porozstawiane rozmaite przedmioty do obejrzenia. Ten rodzaj zalecenia towarów nie zaspakaja najmniej naszej ciekawości, każemy się tedy prowadzić głębi sklepów, częścią dla bliższego ich obejrzenia, częścią zaś dla zaopatrzenia się w jakieś miejscowe pamiątki. Nasz przewodnik o długim warkocz, jest przecie aż nadto doświad-

go nie wspólnego ze sztuką. Chińczycy są niezmiernie wytrwali i pracowici i celują we wszystkim, co tylko wymaga wielkiej cierpliwości. Wszedłszy do sklepu kupca handlującego wyrobami z kości słoniowej, napatrzyliśmy się dowoli przeróżnym wyrznanym z niej wachlarzykom, figurkom szachowym i laseczkom zastępującym w Chinach miejsce widelców, popisowemi jednakże przedmiotami tego składu, były powkładane jedna w drugą maleńkie wydrążone kulki, wyrabiane z jednej sztuki kości, całkiem luźno poumieszczane. Sama tylko kuleczka wielkości grochu mieszcząca się wewnątrz była bez wydrążenia. Każda z wydrążonych kulek była ozdobiona płasko wyrzniętymi figurkami i miała na sobie tyle dziurek ile jej powłoka. Wierzchnia kulka obejmująca wewnątrz wszystkie inne, była najozdobniej wykonana, a znajdujące się na niej płaskorzeźby, przedstawiały rozmaite sceny z domowego pożyicia Chińczyków. Ku dolo-

wi kulka kończy się jakąś ozdobą, zwierzchu zaś jest uwieńczona figurką, która znów styka się z łańcuszkiem, mającym u dołu kształt ryby.

Opuściwszy sklep owego snycerza, udaliśmy się do handlu materij jedwabnych i wytwornych haftów, gdzie wzbudziła w nas podziw delikatna robota rąk męzkich, w Chinach bowiem mężczyźni umieją zarówno wyszywać najcieńszą igielką jak i władać najcięższymi młotami, jako płatnerze i kowale. Nasz przewodnik o długim warkocz, zaprowadził nas następnie do wyrabiającego mozaiki sztukmistrza, gdzie oglądaliśmy różne przedmioty przyozdabiane kwiatami, ptakami i owadami, nakładanemi na wyciskanym metalu, mikroskopijnie drobne mi częściami piórek i jedwabnych materij. Nakoniec udaliśmy się do fabryki ryżowego chińskiego papieru, gdzieśmy doznali uczucia żywego niesmaku. Jest to bowiem wyrób pozabawiony wszelkich warunków estetyki, wykonywany do-raznie wspólnemi siłami kilku naraz robotników, z których jeden maluje zarysy figur, inny twarze, inny zaś znowu resztę szczegółów ciała i strojów ludzkich. Jako wzory można tu napotkać rozmaite fotografie i ryciny europejskie najpocieszniej przez Chińczyków karykaturowane.

— Ak Cum, przewodnik nasz przeznaczny, zaprowadził nas również do jednej z ośmiuset świątyń istniejących w Kantonie, następczą nam sposobność podziwiania około pięciuset geniuszów, czy też apostołów buddyzmu, pod postaciami drewnianych, suto wyłaczanych figur, a gdy jedna z takowych przybrana w kapelusz i obuwie całkiem europejskie zwróciła naszą szczególniejszą uwagę, objaśnił nas z całą powagą, że był to Marco Polo jeden z najznakomitszych mężów stanu, widocznie zatem imię słynnego podróżnika jest u nich w poważaniu, skoro go dają mniemanym swym wielkościom. Nie myśleliśmy bynajmniej w czasie dalszej wędrówki po Kantonie, badać rozmaite religie i wyznania. Główną rolę odgrywa tu nauka Konfucjusza, buddyzm pod postacią rozmaitych sekt ma tu również swoich przedstawicieli, nieco dalej ku środkowi państwa religia mahometańska posiada bardzo wielu wyznawców, obok niej zaś tolerowaną jest także chrześcijańska, ogólną zaś cechą w charakterze wszystkich Chińczyków, stanowią najokropniejsze zabobony.

Według wyobraźni Chińczyka, cały świat aż się roi od przeróżnych złych i dobrych duchów, geniuszów i demonów, z którymi tu żyje się w bardzo dobrych stosunkach.

Duchy te posiadają osobne ołtarze po domach i świątyniach, a bonzowie czyli kapłani są bezustannie zajęci ofiarami na cześć takich przychylnych lub złowrogich bożyszc. Owe ofiary i zaklęcia należą całkowicie do dziedziny tych tajemnic których nigdy nie wyjawiają. Różdżki a raczej laseczki czarnoksiężkie odgrywają w Chinach nader ważną rolę. Podobne laseczki z drzewa nasyconego jakimś wonnym, odu-razającym pierwiastkiem, bywają palone podczas zaklinania geniuszów. Służą one również jako wyrocznia i wtedy wysypuje się pewna ich liczba w podłużny pułar, z którego następnie wyrzucają się na stół. Posiadają one dwie barwy: czerną i białą, z której pierwsza oznacza szczęście, druga zaś załobę.

(d. n.)

Lew świętego Marka

(z ANGIELSKIEGO E. A. Henty)

przekład K. P.

(Ciąg dalszy).

— Giuseppe, czyś ty widział łódź, którąśmy w tej chwili minęli. Kobieta, która w niej siedziała, to Castaldi! Gdybyśmy na nich napadli? Ona ma tylko jednego przewoźnika. We dwóch damy sobie z nim radę.

— Nie! nie. Castaldi nie zechce powiedzieć gdzie ukryła dziewczętą, a gdyby ją nawet zmuszono na torturach do wyjawienia tajemnicy, to wiadomość rozejdzie się po całym mieście i przeniosą je do innego miejsca. My teraz popłyniemy za nimi w pewnej odległości, ażeby nas nie spostrzegli i dowiemy się gdzie wysiadą. Ale musimy zachowywać się bardzo cicho, bo inaczej nam umkną, albo zmylą drogę.

— Właśnie wysiadają. Co robić panie, może i my wysiedziemy i pójdziemy za nimi?

— Zapóźno Giuseppe. Zanim my zdążymy przybić już się oni zmieszają z tłumem. Jeżeli gondola odpłynie, to będziemy ich szukali na lądzie, ale jeżeli zatrzyma się przy schodach, to i my poczekamy, gdyż zapewne wróci.

Castaldi z towarzyszem oddalili się szybko, a ich przewoźnik usiadł spokojnie w łodzi i czekał. Franciszek przepłynął obok niego, lecz zatrzymał się o kilkaset łokci dalej. Zwrócił łódź i powoli zbliżał się do schodków. Godzina minęła, a nikt nie nadchodził. Nareszcie po upływie tego czasu Franciszek usłyszał stapanie i dostrzegł dwa cienie, które schodziły do łodzi, która odbiła natychmiast; Franciszek płynął za nią, lecz trzymał się brzegów kanału, gdzie padał cień od domów. Gondola przepłynęła znów pod Wielkim Mostem i płynęła po Wielkim Kanale.

— Uważaj Giuseppe aby nam nie zniknęli. Gotowi zawrócić w bok, a wtedy ich nie odnajdziemy. Ale gondola nie zmieniała kierunku, i niebawem znalazła się wprost kościoła św. Marka. Naprzeciw niej płynęła powoli duża czterowiosłowa gondola i Franciszkowi zdawało się, że mijając się obie łodzie na chwilę przystały, i że szeptało pomiędzy sobą. Wtedy mniejsza gondola zawróciła na pełne morze.

— Trudno nam będzie ich ścigać — rzekł Giuseppe. — Zaraz nas dostrzegą, gdyż tu jest znacznie jaśniej niż w mieście...

— Może to tylko podstęp, ażeby nas omylić. Muszą wiedzieć, że płyniemy za nimi, bo oni z pewnością uważają na najdrobniejszą rzecz.

— Ja ich jeszcze widzę, panie Franciszku, płyną dalej. My ich dostrzegamy na tle nieba, a mamy za sobą cię mne budynki, więc oni nie mogą nas widzieć.

Zagłębili wiosła w wodę, lecz zaledwie zrobili pięćdziesiąt łokci, Franciszek usłyszał plusk wiosła za sobą.

— Na prawo Giuseppe — zawołał, oglądając się za siebie.

Jedno silne uderzenie wiosła zawróciło łódź pod kątem prostym, właśnie w chwili, gdy duża czterowiosłowa gondola miała strzaskać jej ster.

Giuseppe wybuchnął gniewem i zwymyślał niezręcznych wiosłarzy, lecz Franciszek kazał mu zamilknąć.

— Płyną dalej, oni to umyślnie zrobili, uważałeś, że Castaldi im coś mówiła.

Napastnicy także zwrócili i ścigali ich ponownie, Franciszek zrozumiał, że Castaldi spostrzegła, iż jest ścigana i uprzedziła swoich współników na placu św. Marka, ale on tak był zajęty pilnowaniem jej łodzi, że nie zwrócił najmniejszej uwagi na czterowiosłową gondolę, która miała go wyrzucić i zatopić w razie, gdyby za długo płynął za tamtymi.

Niedługo jednak spostrzegł, że odległość między nim a ścigającymi wciąż się zmniejszała. Skierował się więc ku Wielkiemu Kanałowi, gdyż tamta gondola płynąca na prawo odcinała mu przystęp do placu.

— Zachowaj zimną krew Giuseppe, za chwilę zrównają się z nami, a kiedy ja zawołam, to zwróć do lagun, oni będą musieli zwolnić biegu i w ten sposób zyskamy na odległości.

Tak się też stało: wielka gondola nie mogła się nagle zatrzymać i siłą pędu popłynęła o kilkadziesiąt łokci dalej, podczas gdy stojący w niej zbrojni ludzie, obsypali gradem przekleństw naszych młodych przyjaciół.

— Starajmy się dobić do stopni kościoła św. Maryi; wyskoczmy na brzeg i tam nas nie schwytają.

Obaj chłopcy wyczerali całe siły, gdyż to był wyścig na śmierć i życie. Wyprzedzili napastników o trzy długości ło-

szło o to aby tę odległość utrzymać. Nareszcie łódź uderzyła o schody, Franciszek i Giuseppe wyskoczyli równocześnie na brzeg, i uciekali co tchu w głąb miasta. Zaledwie ubiegli kilkadziesiąt kroków usłyszeli trzask gwałtowny, to wielka gondola rozbiła ich łódkę. Nastąpiła chwila ciszy, dorybny przeskakiwali przez łódź i wstępowali po schodach, potem rozległy się ich spieszne kroki na bruku. Ale nasi przyjaciele byli już daleko, i dzięki temu, że nie mieli obuwia, nie mogli uciekać niepostrzeżeni. Po kwadransie szalonego biegu stanęli nadsłuchując, ale ciszy nie przerywał żaden turkot. Odetchnęli spokojnie i szli powoli do domu.

— Nasza gondola rozbita — rzekł ze smutkiem Giuseppe — gdyż był dumny ze swojej lekkiej łodzi.

— Mniejsza o gondole — odparł wesoło Franciszek — gdyby mi rozbili sto takich, jeszczebym się nie gniewał.

— Castaldi przecież uciekła i niczegośmy się nie dozwolili.

— Przeciwnie, mój drogi, teraz wiemy wszystko. Wiem, że panny Polani są ukryte w chacie na San Nicolo. Żeż mi to na myśl wcześniej nie przyszło! Wiedziałem doskonale, że Mocenigo zechce je mieć w pobliżu, i że to jest najbezpieczniejsze miejsce, bo mało kto nawet wie o istnieniu tej wysepki. Castaldi przyjechała do Wenecyi, aby się porozumieć ze współnikami i kazała tej czterowiosłowej gondoli zatopić każdą łódź którą ją ściagała. Natychmiast posłaliśmy do pana Polani i opowiemy mu co zaszło.

Dwa razy musieli dzwonić do drzwi pałacu, zanim się otworzyło okienko i gniewny głos zapytał ich, czego sobie

— Muszę się natychmiast widzieć z panem Polani.

— Pan się położył przed godziną.

— To nie nie znaczy, jestem Franciszek Hammond i pochodzę w pilnym interesie.

Jak tylko służący poznał głos Franciszka, odsunął się i zapytał z ciekawości:

— Czy pan ma wiadomości o panienkach?

— Przynoszę ważne nowiny — odrzekł Franciszek.

Na schodach rozległy się szybkie kroki i signor Polani pojawił się z latarką w ręku. Usłyszał on rozmowę i przyznał, że musiało zajść coś niezwykłego, kiedy jego młody przyjaciel przychodzi o tak spóźnionej godzinie.

— To ja, signor Polani, to ja, Franciszek Hammond. Przynoszę wiadomości, które nas w każdym razie do czegoś prowadzą.

Biednemu ojcu, o mało z rąk latarnia nie wypadła.

— Co ty mówisz Franciszku, jakie wiadomości?

— Spotkałem Castaldi i płynąłem za nią. Nie wiem dokładnie dokąd ona zdążała, bo inna gondola zaczęła nas ścigać i o mało nie zatopiła; ale domyślałem się gdzie są ukryte panny.

— Dlaczegoż nie wyrócił jej łodzi i nie dostał jej w swoje ręce. Potrafilibyśmy ją zmusić do mówienia.

— Tak panie, ale gdyby się jej współnicy dowiedzieli, że ją schwytano, przeniesliby córki pana do innego miejsca. Dlatego też wolałem płynąć za nią i dowiedzieć się w ten sposób, gdzie są ukryte. Byłoby się udało, gdyby nie ta gondola.

— Masz słusność Franciszku, ale teraz tak samo nie wiem, gdzie szukać moich biednych dzieci.

— O nie panie, teraz wiemy prawie na pewno, gdzie ich szukać. Przed miesiącem miałem zdarzenie, które mi pozwoliło z łatwością odszukać ich kryjówkę.

— Opowiadaj w krótkości, jak jednego wieczoru z Ruggiera Mocenigo na wyspę San Nicolo, gdzie w pół godziny odchodziły się schadзки polityczne.

— I niech pan sobie wystawi, że nie przyszło mi na myśl szukać panien Polani na tej wysepce. A jednak teraz, gdy zastanawiam się, to widzę, że Ruggiero nie mógł znaleźć ich lepszego ukrycia, właśnie dla tego, że niktby ich tam nie znalazł.

Opowiadanie Franciszka, przerywane było częstymi wykrzyknikami zdziwienia ze strony pana Polani. Gdy chłopak skończył, stary kupiec położył mu rękę na ramieniu i rzekł:

— Moje dziecko, nie wiem jak ci podziękować! Pan Bóg cię zesłał, abyś uratował moje córki. Teraz jestem pewien, że Ruggiero więzi je na San Nicolo. Jakże to szczęście, żeś nie zdradził ich spisku, gdyż inaczej zawieźliby moje dziewczęta gdzie indziej.

— A jeżeli ja się mylę? W każdym razie powinniśmy niezwłocznie przeszukać całą wysepkę, jakieśmy przeszukali wszystkie osady nadbrzeżne.

— Zaraz posłę po gondolierów, mam ze dwunastu ludzi w domu, i sądzę, że Castaldi niema większej siły przy sobie. Obawiałaby się zwrócić uwagę rybaków.

— Mojem zdaniem, nie powinniśmy nie tej nocy przedsięwziąć. Może Castaldi mnie poznała i domyśla się, że ja wiem, gdzie ona ukryła swoje pupilki. W takim razie będą się mieli na baczności i jak tylko spostrzegą, że kilka gondoli płynie do San Nicolo, zaraz dadzą jej znać i ona wyspę opuści. Zaczekajmy lepiej do rana. Pan każe swoim ludziom wyjść pojedynczo z domu, spokojnie wsiadają do rozmaitych łodzi w rozmaitych punktach miasta i popłyną do San Nicolo. Niech się ludzie pokładają na dnie łodzi, to nikt nie będzie miał najmniejszego podejrzenia. Ja jeden znam położenie chaty, więc popłynę w pierwszej gondoli. Nie wylądujemy w pobliżu wioski, ale z przeciwnej strony wysepki, wszyscy w jednym miejscu, ale jedni po drugich. Część ludzi będzie pilnowała aby nikt nie odpłynął, a część pójdzie wprost do chaty i wtedy zobaczymy czy miałem rację czy nie.

Wyborny pomysł, Franciszku, ale ja jestem tak niespokojny, że noc nie będzie miała końca dla mnie. Muszę cię jednak słuchać. Już ty to dobrze obmyśliłeś. Gdyby nawet mój dom był strzeżony, i gdyby cię widziano wchodzącego, to jednak nasza beczynność musiałaby ich uspokoić. Ty naturalnie spędzisz noc u mnie.

— Nie mogę, panie. W domu zostawiłem opis mojej wycieczki do San Nicolo i podałem nazwiska wszystkich osób tam zebranych. Prosiłem przytem ojca, że jeżeliby kiedykolwiek nie wrócił przed ranem do domu, aby ten opis oddał Radzie. W ten sposób miałbym pewną przewagę nad Ruggierem, który nie śmiałby mnie zabić, wiedząc, że mam w ręku losy tylu ludzi.

— Dzielnym z ciebie chłopak, Franciszku, dzielny i roztropny.

— Nie na wieleby się to w końcu przydało, bo najważniejszy dokument nie ochroni przed uderzeniem sztyltem — ale w razie gdyby mnie Mocenigo schwycił — mam broń przeciwko niemu. Widzi pan, że muszę wracać do domu przed ranem.

— Poczekaj, aż się trochę rozwidni. Twój ojciec nie dowie się tak wcześnie o twej nieobecności. Prześpij się trochę, a o świcie wstaniemy obaj, ja przygotuję naszą wyprawę, a ty wsiadziesz do pierwszej lepszej gondoli, popłyniesz do domu i schowasz swój papier. Wyjedziemy stąd o siódmej, o tej porze już się kręci mnóstwo gondoli i łodzi rybackich, tak, że nasza obecność nikogo nie zadziwi.

— Dobrze, panie, chętnie obaj zaśniemy, gdyż o wczesnego ranku jesteśmy w ciągłym ruchu i byliśmy już mocno umęczeni zanim nas owa łódź ściagała.

VI.

Chata na San Nicolo.

O siódmej wszystko było przygotowane. Signor Polani wyjechał sam z pałacu i w umówionym miejscu spotkał Franciszka z czterema ludźmi. Na dwie godziny wprawdzie posłał rozkaz do kapitana statku kupieckiego, ażeby wziął dziesięciu ludzi i nie pozwolił nikomu ani przypłynąć ani odpłynąć od wyspy. Cekał on przybycia pana Polani, i kiedy go dostrzegł kazał podnieść kotwicę i podażył za nim w pewnej odległości, tak jednak, ażeby się nikt nie domyślił, że dwie łodzie mają jedno przeznaczenie.

Franciszek skierował swoją łódź do wąskiego kanału, który oddziela San Nicolo od sąsiedniej wyspy i wylądował na piaszczystym wybrzeżu. W parę chwil później nadpłynę-

ły czółna okrętowe. Sześciu majtków, prowadzonych przez Franciszka i signora Polani, szło wprost do chaty, podczas gdy po czterech ludzi z każdej strony, w odległości kilkuset kroków, miało przeciąć drogę każdemu, kto by zechciał uknąć do morza.

— Spieszmy — rzekł Franciszek — ażeby nie mieli czasu ukryć pańskich córek, jeśli nas spostrzegą.

— Spieszmy — odpowiedział biedny ojciec — bo nie ma nic gorszego jak niepewność.

Postępowali szybko, i zatrzymali się dopiero na szczycie wzgórza piaskowego. Poniżej stał dom.

— Jesteśmy u celu — rzekł Franciszek — zobaczmy czy miałem rację.

Po chwili znaleźli się przed drzwiami chaty.

— Otwórzcie! — zawołał signor Polani, uderzając do drzwi, ręką od szabli.

Lecz nikt nie odpowiadał.

— Do siekier! — zawołał, i dwóch majtków uzbrojonych w topory przyskoczyło i jęło rąbać. Na ten hałas, drzwi się otworzyły i wyszli z nich dwaj ludzie ubrani po rybacku.

— Co znaczy ten napad? — zapytali zdziwieni.

— Związać ich — rzekł pan Polani i wbiegł do domu a za nim Franciszek, ale po kilku krokach zatrzymał się zdumiony. Chata była pusta.

— Jeżeli ich tutaj niema, to muszą być w okolicy, niech pan nie traci nadziei, ale wpierw przeszukamy każdy kąt...

Wnętrze chaty nie różniło się niczem, od zwykłych mieszkanków rybackich. Po środku stał wielki stół otoczony ławkami, w kącie rzucono kilka wioseł i sieci. Na kominie palił się ogień a przy nim w garnkach gotował się obiad.

— Zobaczmy, co oni sobie przyrządzają — rzekł Franciszek, podczas gdy pan Polani oparł się zrozpaczony o stół i nie zwracał uwagi na to, co się około niego działo.

— Zupa — rzekł Franciszek, podnosząc przykrywą z garnka — i sądząc po zapachu musi być smaczną. A tu gotowana ryba i pieczeń z koźlęcia. Signor Polani, to nie jest zwykły obiad rybaków. Pańskie córki bezwątpienia są gdzieś niedaleko ukryte. O! drugie drzwi, których wchodząc nie dostrzegłem.

— Te drzwi nigdzie nie prowadzą, z tej strony piasek piętrzy się aż pod dach.

— Ale może być nisza, izba pokryta piaskiem. W każdym razie łatwo się przekonać.

Pchnął drzwi, ale te ani drgnęły.

— Może to piasek — rzekł Franciszek — a może zasuw.

Wyszedł na podwórze i zawołał majtków z toporami.

Po kilkunastu uderzeniach drzwi wypadły z zawiasów, i ukazał się za nimi pokój do którego signor Polani i Franciszek wbiegli z wyciągniętymi szablami. Obaj wykrzyknęli radośnie.

Pośrodku między wschodniami, makatami stali dwaj zbrojni ludzie w niepewnych postawach. a na tureckiej sofie ruszały się dwie postacie, starając się uwolnić z szalów, które im owijały głowy. Wreszcie zerwały się i z wołaniem radośnym rzuciły się naprzeciw wchodzących. Na rogu otomany siedziała niemłoda kobieta ze zwieszoną głową.

— Marya! Julia! — wykrzyknął kupiec wypuszczając z rąk szablę i wyciągając je do swoich dzieci.

Franciszek, a za nim dwóch marynarzy zbrojnych w pory, zbliżyli się do zbirów.

— Oddajcie broń, bo dwunastu towarzyszy stoi przed domem. We dwóch nic nie wskóracie.

Złoczyńcy rzucili miecze na ziemię.

— Teraz ich zwiążcie i pilnujcie jak oka w głowie.

Przez długi czas trwało milczenie. Dziewczęta płakały z radości a on ścisnął je i ukradkiem lży obcierał. Franciszek wyszedł spokojnie przed dom i powiedział parę słów kapitanowi, który zbliżył się do kobiety siedzącej na sofie i wziął ją pod ramię i wyprowadził z pokoju.

— Chodź Franciszku — rzekł wreszcie signor Polani a wy moje dzieci, nie mnie, ale jemu zawdzięczacie ocalenie. On was odnalazł, i on was wyrwał z rąk nieczestych Mocenigo. Uściskajcie go jak brata, bo i brat nie mógł więcej dla was uczynić. A teraz opowiadajcie wszystko co się chwili porwania.

— Wiesz ojciec zapewne, iż nam powiedziano, że zbliżyć się nie wolno. Otóż gdyśmy weszli do łodzi, ochmistrzyni pokłoniła okiennice i posłała rozmówić się z gondolierami. Zaczęliśmy wołać, że nam ciemno, ale ona nam kazała być cicho, takim tonem, jakim nigdy przedtem nie przemawiała. Chcieliśmy podnieść okiennice, ale były przymocowane. Gdy przeczuwając niebezpieczeństwo wołałyśmy z całej siły o pomoc, głos nasz jednak, nie mógł być słyszany. Wtedy, gdy cała gondola była wybita grubym wojłokiem. Powietrze stawało się nieznosnie duszne, i ja zemdlałam. Gdy wróciłam do przytomności okno jedno było otwarte i Julia mi powiedziała, że przyrzekła, iż nie będziemy więcej płakać, ale krzyki nasze nie na wieleby się przydały, gdybyśmy już być za miastem. Płynęłyśmy jeszcze długo, wreszcie gondola stanęła i Castaldi chciała nam rozwiązać oczy. Myśmy nie pozwalały, ale ona nam zagroziła, że nas zwiążą przewoźnicy, więc nie opierałyśmy się. Niesiono nas z łodzi i szłyśmy dosyć długo po piasku. Castaldi zdjęła nam chustki z oczów i ujrzałyśmy się na pokój z którego odtąd nie wyszłyśmy.

— Czy się z wami źle nie obchodzono? — zapytał spokojnie signor Polani.

— Nie ojciec. Do dziś nikt nie wchodził do tego domu prócz Castaldi. Zwykle drzwi zostawiano trochę otwarte dla powietrza, bo tu niema okien. Ona przynosiła nam z pierwszego pokoju pokarm, który się tam gotował i walał śmieć nieraz przez drzwi ruszających się ludzi, ale my chowaliśmy się bardzo spokojnie i mówili przyciszonym głosem. Możesz sobie wyobrazić ojciec, że groziłyśmy tej kobiecie twoim gniewem, lecz ona spokojnie na to odpowiadała, że nikt nie odnajdzie, i że jedna z nas powinna zaślubić Brata Moceniga, gdyż w przeciwnym razie źle z nami będzie mówić, że pierwej umrę, a ona śmiała się szyderczo i mówiła, że jak Ruggiero zjawi się tu z księdzem, to pomogą moje lzy i że zostanie jego żoną. Ale Ruggiero przyszedł. Zdaje mi się, że musiała być niespokojną dwa razy wychodziła na kilka godzin i zamykała drzwi kluczem. Więcej nic nie wiemy. Ale gdzież my jesteśmy?

— Na San Nicolo.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Pyszne koty, wiersz p. Z. M. (z drzew.) — Co może opowiedzieć ścięty pień drzewa p. I. R. — Losy Adasia p. Zofię Kowalewską pobyty w Kantonie (z drzew.) — Lew świętego Marka (przekład K. P. z angielskiego G. A. Henty). Dodatek: Co wam się podoba? wierszyk (z drzew.) — Grymasznica, komedycja w jednej odsłonie. — Pogadanka z wujaszkiem. — Mali Robinowie w skałach nadmorskich, przełożyła M. B. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Orle powieść miss K. Yonge przekład T. O.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Ценаурою, Варшава 5 Февраля 1896 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE



CO WAM SIĘ WIĘCEJ PODOBA?

Jacy śmieszni ci mazgaje,
Wszyscy wrzeszczą jak najęci,
Pierwszy gniew srogi udaje,
Drugi piąstką w oku kręci,
Trzeci marsem jak wilk patrzy,
Czwarty drze się, co ma siły,
Piąta choć ma buziak gładzysy,
Oczy jej się już skrzywiły.
Ich sąsiedzi, patrzeć miło,
Takie ładne uśmiechnięte,
Żadne z nich się nie skrzywiło
Jak z obrazka każde zdjęte.



Pierwszy śmieje się wesoło,
Drugi choć z paluszkami w buzi
Uśmiechnięty patrzy wkoło.
Śmieje się twarzyczka Józi,
(Bo ta trzecia to jest Józia)
A ta czwarta, ta figlarka
Często straszy: „huzia! huzia!”
Ładna z Jasiem jest z nich parka,

Ot, z tym piątym, co to niby
Oczkiem mruga tak z niechcenia
Patrząc ku nam przez dwie szyby,
Grzecznie mówi: „do widzenia.”

Z.

GRYMAŚNICA

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODŁOŻONIE.

OSOBY.

STASIA
HALINKA } rodzeństwo.
ZYGMUŚ }
ADELCIA, ich kuzynka.
MARYSIA, służąca.

Rzecz dzieje się w domu rodziców Stasi, Halinki i Zygmuś.
Scena przedstawia pokój skromnie umeblowany, z jednej strony
stolik z przyborami do pisania, z drugiej kanapka, na niej po-
duszka).

SCENA I.

(Zygmuś sam, później Halinka).

ZYGMUŚ (rysuje z zajęciem, po chwili przestaje). Zdaje
mi się, że jeszcze nigdy, tak dobrze nie narysowałem, jak
dzisiaj, ale też żaden jeszcze rysunek nie kosztował mię
tyle pracy. Będzie piątka z pewnością!... Ojczulek się
ucieszy, bo zwykle narzeka, że żadne z nas nie odziedzi-
czyło jego talentu. Ach! bo ojczulek przesłicznie rysuje.
Jakżebym pragnął kiedy mu dorównać... (wchodzi Halinka).

HALINKA. Jesteś tu Zygmuś? Jak to dobrze! Po-
bawisz się ze mną.

ZYGMUŚ. Och! Halinko, z przykrością muszę ci od-
mówić.

HALINKA (krzywiąc się). Tak? Nie chcesz się ze mną
bawić? Taki z ciebie dobry brat? Nie spodziewałam się
tego...!

ZYGMUŚ. Ależ moja Halciu, ja nie mam czasu.

HALINKA. Ty zawsze dla mnie nie masz czasu!

ZYGMUŚ. Muszę wykończyć rysunek, lekcye odro-
bić na jutro...

HALINKA. Więc u ciebie pierwsze są lekcye, niż
rodzona siostra?

ZYGMUŚ. Ach! Halciu, bądźże rozsądną. Same lekcye
się nie odrobiją, gdy ty sama świetnie możesz się zabawić.

HALINKA (z płaczem). Już mi się sprzykrzyło samej
bawić! Ach! Boże! Jaka ja nieszczęśliwa! Umieram z nu-
dów!...

ZYGMUŚ. Tylko nie zaczynaj znowu płakać, bo nie
skończysz wcześniej, jak za parę godzin. Już większej

beksy niema chyba na świecie! Od rana do wieczora ma-
że się i małż!.

HALINKA. Nie dosyć, że się bawić nie chcesz, jesz-
cze mi tak dokuczasz. Zobaczysz, że się rozchoruję przez
ciebie. *(płucze)*.

ZYGMUŚ. Halciu, proszę cię, nie piszcz mi nad głó-
wą. Jeżeli chcesz być w tym pokoju, gdzie ja się uczę,
to siedź cicho. Mogłabyś trochę poczytać, takie śliczne
powiastki dostałaś od wujaszka!

HALINKA. Ja nie mam ochoty teraz czytać! Ja się
chcę bawić z tobą!

ZYGMUŚ. Mówiłem ci już, że nie mam czasu. *(Po-
chyła się nad stolikiem i rysuje)*.

HALINKA *(patrzając przez ramię)*. A! jaki śliczny obra-
zek! Daj mi go!

ZYGMUŚ. Nie mogę; widzisz, że jeszcze go wykoń-
czam.

HALINKA. Ale ja chcę go mieć zaraz! Ja nie chcę
żebyś wykończył.

ZYGMUŚ. Mało mię to obchodzi, co ty chcesz! Ry-
sunku ci nie dam.

HALINKA *(płucze)*. Ach! Boże! Boże! Jaka ja nie-
szczęśliwa! Takiego mam niedobrego brata! Ciągłe mi
tylko dokucza! Ja chyba ucieknę z domu, bo nie wy-
trzymam dłużej.

ZYGMUŚ. Lepiejbyś nie plotła takich niedorzeczności.

HALINKA. Tak, wszystko, co ja powiem, to niedo-
rzeczne; a tylko, co ty wygłosisz, to jest bardzo mądre.

ZYGMUŚ. Moja Halciu, ja cię bardzo proszę, wyjdź
z tego pokoju, bo mi przeszkadzasz!

HALINKA. Dobry brat z ciebie, bardzo dobry! Wy-
pędzasz siostrę ze swego pokoju... Niedługo będziesz mię
chciał zapewne zupełnie z domu wypędzić, ale ja na to
czekać nie będę *(z płaczem)*. Pójdę sobie w świat, może
ludzie obcy będą dla mnie lepsi!... Tutaj mi wszyscy tak
dokuczają...

ZYGMUŚ *(niecierpliwie)*. Halciu, przestań pisać, albo
wyjdź z pokoju, bo mi już cierpliwości brakuje!

HALINKA. A widzisz! Prawda cię w oczy kole, nie
chcesz jej słuchać, ale ja stąd nie wyjdę!

ZYGMUŚ *(wstając z krzesła)*. Nie wyjdiesz sama,
to ja cię wyprowadzę. *(Bierze Halcię za rękę i ciągnie ku
drzwiom)*.

HALINKA *(z płaczem, opierając się)*. Nie chcę! nie pój-
dę! Puść mnie ty...

(d. c. n.)

POGADANKA Z WUJASZKIEM.

(Dokończenie).

— A czy dzikie koty żyją też jeszcze u nas? — py-
tał Władzio dalej.

— Wśród gór w Karpatach, utrzymuje się do-
tychczas, podobny trochę do naszego domowego, lecz
znacznie od niego większy: „żbik”, pokryty siercią żół-
tawą w czarne poprzeczne pręgi. Obok niego stoi „rys,”

czyli „ostrowidz,” który mimo, że już to dla futra, już dla
szkód jakie wyrządza, tępiony jest niemiłosiernie przez
myśliwych, zdołał się dotychczas utrzymać w większej
liczbie w Ameryce, szczególnie na jej północy, napotyka
się jednak i w Europie. Ale, jak ci to już wspomniałem,
najwięcej dzikich kotów i to najsilniejszych, najniebez-
pieczniejszych, zarówno dla człowieka, jak każdego zwie-
rzęcia, zamieszkuje kraje południa. Tamto pod skwar-
nem niebem Azji i Afryki żyją lwy, lamparty, tygrysy...

— Wujaszku, to ten lew, którego widziałem w me-
nazeryi, to wielkie zwierzę żółtawej barwy, z ciemną,
ogromną grzywą, zamknięte w żelaznej klatce, ma też
być kotem?

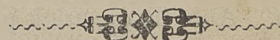
— I jest nim niezawodnie, niczem się bowiem
w gruncie rzeczy, z wyjątkiem owej grzywy wspaniałej,
właściwej zresztą tylko lwom samcom, nie różni od roz-
pieszczonych nieraz, naszych kotków domowych. Ten
sam okrągły kształt głowy, takież same uzębienie, odzna-
czają się szczególnie ostrymi i silnymi kłami; podo-
bne zupełnie zakończenie nóg, a nawet szorstkość języ-
ka wspólna wszystkim kotom, właściwą jest także temu
potężnemu i wspaniałemu władcy pustyni.

— Ciocia raz mówiła, ale pewnie żartowała wtedy,
że jak lew ryknie, to wszystkie zwierzęta drżą ze strachu.

— Ciocia opowiadała ci rzeczywistą prawdę, i nie-
tylko zwierzęta opanuje wielkie przerażenie, ale nawet
człowiek, choćby był najodważniejszym strzelcem, naj-
waleczniejszym żołnierzem, traci bardzo często zupełną
przytomność umysłu, gdy usłyszy ten potężny głos dają-
cy się podobno jedynie porównać do strasznego łomotu,
spadającego blisko nas piorunu. Z największem też nie-
bezpieczeństwem połączone są wyprawy łowieckie na te-
go króla zwierząt, który jest prawdziwie wielki i maje-
statyczny w poczuciu swej nieprzewyciężonej prawie
siły; a opisy myśliwych, którzy odważają się na polowa-
nie na lwy, są nadzwyczaj zajmujące. Niektórzy utrzy-
mują, że mimo swej dzikości, zwierzę to umie być wspa-
niałomyślnem, co jednak jest pewnem to, że on jeden
z całej krwiożerczej rodziny kotów, odbiera życie drugim
zwierzętom jedynie gdy jest głodny, czego żadną miarą
nie można powiedzieć o pobratymcu jego, ciemno-bru-
natnym, czarno-pręgowanym „tygrysie,” który zamiesz-
kuje przeważnie Indye i szerzy wielkie spustoszenia
wśród dzikich i domowych trzód tych okolic, chętnie też,
gdy raz pokosztuje ciało ludzkie, napada na podróżnych,
a nawet spokojnych mieszkańców w ich siedzibach. Ró-
wnie dzikim i niebezpiecznym jest centkowany „lampart”
oraz podobna do niego „pantera” a wreszcie żyjący
w Ameryce „jaguar.”

— A czy te dzikie koty dały się kiedy oswoić — za-
pytał Władzio, słuchający z wielkiem zajęciem tego opo-
wiadania.

— Bywały podobno wypadki, że lwy, a nawet ty-
grysy i lamparty okazywały po wielu trudach pewne
przywiązanie do swoich panów, mnie się jednak zdaje,
że zawsze prędzej domowy kot zdziczeje, aniżeli dziki
zmieni swoje okrutne krwiożercze instynkta.



Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich.

przełożyła M. B.

(Dalszy ciąg).

— Cóż my zrobimy z tylu rybami? — zapytała Melcia.

— Sole trzeba będzie wpuścić do sadzawki, zanim zjemy naszego homara.

— Eh, ty mały niemądry chłopcze, czyż jeszcze nie wiesz, że ryby morskie nie mogą żyć w słodkiej wodzie? I te sole zasnęłyby nam wkrótce i zanieczyściły świeżą wodę, którą mamy do picia.

— A więc cóż z nimi zrobimy?

— Dwie wrzucimy do ciemnego otworu, przez który woda napływa, z łatwością dostaną się do morza. A później złowimy inne.

Dzieci wzięwszy ryby skierowały się do wskazanego miejsca, lecz otwór był tak straszny, ciemny, że Iwonek, który stanowczo nie miał w sobie rycerskiego ducha, odmówił postąpienia naprzód.

Melcia nie strwożona niczem podeszła o parę kroków, lecz natychmiast w tył odskoczyła, poczuła bowiem pod nogami jak piasek stawał się coraz miększy, jedno małe posunięcie, a mogła zapasć w przepaść, znajdując tam śmierć niechybną, osierocając swego Iwonka, który bez jej opieki zginąłby wśród skał...

— Chodź, chodź — zawołała poraz pierwszy; prawdziwie przerażona — i pamiętaj nigdy, pod żadnym pozorem nie przybliżaj się do tego miejsca.

Zabrawszy dostateczny zapas suchego drzewa, dzieci powrócili do grotu. Melcia nastrugała nożem drewniek, łatwych do rozpalenia. Ułożyła mały stos, ale potrzebowała wody. Umyła rondel, napełniła go wodą wydobywającą się ze szczelin skalnych i poczęła gotować złowioną rybę, homara postanowiła ugotować potem, przyda się na wieczerzę, lub na jutrzejsze śniadanie. Krewetki byłyby także bardzo dobre, ale nie sposób zjeść wszystkiego odrazu... Późniejszy połów odnowi zapasy.

Gotowanie bawiło ją bardzo. Woda wypuszczała kłęby pary, syczała, a ryba pokrajana na kawałki, bo w całości nie chciała wejść do rądla, wyglądała już bardzo apetycznie.

— Możebyśmy zupełnie ugotowali? — rzekł Iwonek.

— Nie można, nie mamy masła. Rybę zjemy z kawałkiem chleba.

Jak powiedziała, tak też i zrobili... Świeżutko ugotowana ryba, wydała im się doskonałą.

— Wszak dobrze umiem gotować? — zapytała Melcia.

— Bardzo dobrze. Czy dasz mnie jeszcze kawałek?

Bawił ich nowy sposób życia, żalowali końca obiadu, nie spiesząc się wcale.

— A cóż teraz robić będziemy? — zapytał Iwonek.

— Nic, bo zacznie się przypływ.

— Będziemy się nudzić, tak nie nie robiąc.

— W domu wtedy tylko nudno ci było, gdy cię napędzała do książki.

— Byłem niemądry bardzo...

— A więc ciesz się mój kochanku — rzekła śmiejąc się Melcia.

I wyciągnęła z kieszeni książeczkę, którą bez wiedzy Iwonka zabrała z sobą, podczas nocnych odwiedzin domu. Była to historia święta, kupiona przez ojca, na której Melcia uczyła czytać braciszka.

Co za zmiana! Iwonek który przed chwilą ubolewał nad bezczynnością, skrzywił się na widok książki i na myśl o lekcji... Jąkając się zaczął historię o Józefie sprzedanym przez braci. Ale tak powoli składał sylaby i oddzielne wyrazy, że nie z czytania swego nie mógł zrozumieć.

— Ty mi sama przeczytaj, siostrzyczko — rzekł po chwili — to mnie daleko więcej zabawi.

— Dobrze, przeczytam, ale po lekcji.

I kazawszy mu przesylabizować całe dwie strony, Melcia opowiedziała mu pierwszej historię Józefa, jak go zli bracia sprzedali, a wróciwszy do domu opowiadali ojcu że umarł, i t. d.

Dzień przeszedł im dość prędko, homar został ugotowany na wieczerzę. Dzieci nie jadły jeszcze nigdy homara, gdyż był to wielki specjał, za który drogo płacono, nigdy więc nie ukazywał się na stole rybaka. To też Iwonek nie mógł wyjść z podziwu, widząc jak ciemna skorupka, zmieniała się na czerwoną w gotowaniu, a gdy go Melcia wyjęła z wody nie chciał uwierzyć, że to te same stworzenie... W każdym razie ucztą była wspaniała, biała i delikatne mięso homara, smakowało niezmiernie obojgu.

— Co za szczęście, że mamy jeszcze tak duży zapas homarów pod stosem drzewa! — zawołał chłopczyk.

— Bardzo prędko przesyćisz się nimi, mój łakomy braciszku!

— Nigdy, jadłbym całe życie.

— Zobaczymy. Gdybym nie była rozsądniejszą od ciebie i zaczęła cię karmić homarami, po upływie dwóch tygodni, umarłbyś prędzej z głodu, niż wziąłem do ust.

— E, nie znasz się na dobrych rzeczach moja Melciu, ale muszę ci przyznać, że gotujesz doskonale, a to rzecz główna. Kocham cię też z całego serca!

To mówiąc Iwonek ucałował siostrę, nucąc drugą strofkę ulubionej piosenki:

Był sobie baraneczek

Co miał cztery łapki,

Włos kręcony i łebeczek etc.

Gdyby ktoś dawniej powiedział dzieciom, że uwięzieni pomiędzy czterema wysokimi ścianami skał, które zakrywały im cały widok, nie będą narzekać na nudy, zadziwiłoby ich to niepomiernie. Stojąc na tarasie przed grotą, przez mały wyręb w jednej ze ścian skalnych, dostrzedz można było kawałek morza.

(d. c. n.)

Z A G A D K A .

przez E. M.

Jak w boju, tak w pokoju
Człowieka towarzysysz, druh!
Jego przymiotem,
Jak wiemy o tem,
Siła i rzutny ruch.
Głos trąb gdy wzywa,
Nagle się zrywa,
Biegnie wraz. Częściej daleko w znoju,
Wiernie nam służy
W długiej podróży,
W pracy na dzienny chleb;
A nieścigniony,
Nieposkromiony
W pędzie przebiega step.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ułożył Strumyczek.

1) Najważniejszy port wojenny w Anglii. 2) Rząd zwierząt ssących, obejmujący zwierzęta drobne. 3) Broń używana przez narody wschodnie. 4) Miasto nad Tygrem. 5) Nazwa barwy. 6) Główne miasto rzpl. półn. Ameryki 7) Przezwisko mieszkańca półn. Ameryki. 8) Poeta zmarły w Paryżu w r. 1886. 9) Gromada wysp na oceanie Atlantyckim. 10) Cesarz rzymski 54—68 po Chr. 11) Imię biblijne. 12) Rzeka w Ameryce. 13) Ostatnia dynastia cesarzy bizantyjskich. 14) Miejscowość w dolinie Prądnika. 15) Jeden z cenniejszych poetów XVIII w. 16) Poeta zmarły w Warszawie 1885 r. 17) Człowiek wysokiego rodu u dawnych Rzymian. Sylaby: Ports—o—ja—diar—zie—me—yan—za—an—ne—i—mis—pa—oj—trem—o—pa—mouth—wa—ta—be—lo—ksyk—kes—le—tyl—ron—za—st—le—ców—be—dy—try—do—gan—kir—ny—ski—le—ak—ri—olo—cki—niec—cyusz—zer—go—ne—wie. — Końcowe litery utworzyć powinny imię i nazwisko współczesnego powieściopisarza, początkowe dwa jego utwory.

ZADANIE KONIKOWE.

	Pan	ludz	
ła	spra	wi	Bóg
sła	nie	Gdy	ka
nie	si	wi	bło
	go	nie	

ROZWIĄZANIE DO N-ru 7 go

Szarady: Kon — stan — ty — no — pol.

Łamigłówni kryształowej

	Z	
	Ż	a
	K	o
Z	a	l
P	e	s
	A	k
		t
		a

Łamigłówni arytmetycznej:

Pozostałe zwierzęta miały razem nóg 44.

Skrzynka do listów.

Natalce. Wiersz poczynający się od słów wymienionych w liście, napisał Syrokomla pod tytułem: Lirnik wioskowy. Drukowany jest w zbiorze jego poezyj wydanych w Warszawie.

Kochającą jesteś dla Jagódki siostrzyczką *Słowiku* z nad Łubiany, skoro z takim serdecznym przejęciem opisujesz radosną polączenia z nią chwilę. Życzymy wam, aby to uczucie wzajemnego przywiązania, stało się źródłem pokrzepienia moralnego i pociechy w każdym smutku.

Będziesz posiadać z czasem przymioty słodkiego i pożytecznego owocu, którego miano przybrałaś za pseudonym *Malinko*, kiedy dziś, mając zaledwie lat siedm, lubisz już słuchać czytania starszej siostrzyczki i sama czytać się nauczyłaś, a pisać już takie ładne, bez błędu liściki, jak ten, który odebrałyśmy od ciebie.

Widzisz *Morelko* co to dobry przykład znaczy! Młodsza twoja siostrzyczka naśladuje cię już w pilności do nauk i w zamiłowaniu czytania, przejęła nawet od ciebie upodobanie w Wieczorach. Nie wątpimy też, że pod każdym względem staniesz się dla niej wzorem pracowitości, grzeczności, cierpliwości, łagodności, posłuszeństwa, słowem wszystkich zalet znamionujących dobrą i rozsądną dziewczynkę. Żądany początek powieści „Orla skała” już przesłany.

Przykro nam bardzo *Ziuniu K.*, że wskutek opóźnienia odbioru pierwszych numerów *Wieczorów* doznałaś niemiłego zawodu. Postaraliśmy się już nadal złemu zaradzić, a tymczasem zechciej do nas pisywać niekiedy, gdyż liściki podobne, kaligraficznie i ortograficznie pisane, wielką nam sprawiają przyjemność.

Początek drukującej się powieści „Orla skała” już cię musiał dojść *Niuniu* z Woli, przekonać się mogłaś zatem, że spełniamy dane obietnice.

Dziwisz się *biata Lilijko*, że w Pustyniach Australii przyzmiance o dziobaku nadmieniono, iż znosi jaja. Otóż skoro w zoologii uczyłaś się już o dziobakach, wiedzieć musisz, iż osobliwe te zwierzę ma pysk zakończony rogowym dziobem zupełnie do kaczego podobnym, a u krótkich nóg jego przednie palce złączone są błoną jak u ptaków brodzących. Stało się to źródłem wielu sprzecznych o nich podań, między innymi i temu, że dziobaki znoszą jaja, które wysiadują w gniazdach urządzonych na bagnach. Dowodzenie nad dziobakami obserwacye, zaliczył je do zwierząt ssących. Mimo to są tacy, którzy nie przyznają mu słuszności i do tych należy autor wspomnianej przez ciebie powieści. Co do tego; iż nie wydaje ci się prawdopodobnem, aby Abel mógł rzucić uniwersytet i wrócić do dzikich współbraci, to nie zastanawiałaś się, że uczynił to aby im udzielić trochę nabytej wiedzy i światła. Będziemy się starali wynaleść wymienione z roku 1894 numera i prześlemy je wtedy. Już nieraz prosiłiśmy naszych czytelników aby zagubione numera żądali przynajmniej w ciągu tegoż samego roku, inaczej bowiem mamy wielki kłopot z ich wyszukiwaniem.